

Mirosław Gabryś: Kobiety traktuję jako rozrywkę

Data publikacji: 11.08.2010 13:45

Pracował jako dziennikarz, smażył frytki w McDonalddie, na początku lat dwa tysiące zajmował się przemysłem, który porzucił, kiedy odebrano mu prawo jazdy. Autor trzech tomików wierszy oraz książki „Islandzkie zabawki”, która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Pascal. Choć nie lubi wcześniej wstawać, na wywiad pojawił się 15 minut przed czasem i zamówił piwo, a nie było jeszcze 12:00. Wolny duch, cieszynianin, który spędził ostatnie lata w Reykjavíku. Z Mirosławem Gabrysiem rozmawia Łukasz Grzesiczak, który najdalej na północy był w okolicy Władysławowa.

Łukasz Grzesiczak: Idąc na wywiad zastanawiałem się, czy – zgodnie z tym, co pisze Pan o sobie w swoich wierszach – spotkam człowieka ubranego na czarno. Pisał Pan prawdę. Zatem nasuwa się mi pytanie, czy ten podmiot liryczny z Pana wierszy to Pan?

Mirosław Gabryś: W pewnym sensie tak. Oczywiście – nie wprost, zawsze to jest jakoś zakamuflowane. Inaczej byłoby to za bardzo ekshibicjonistyczne. Wyobraźmy sobie, że ojciec czyta mój tomik wierszy, a w nim – szczególnie w tym pierwszym – opisuję zdarzenia, które, mówiąc oględnie, nie spodobałyby się przeciętnemu rodzicowi: kontakty damsko-męskie, ekscesy alkoholowe. Lepiej nie musieć tłumaczyć się przed ojcem...

Myślę, że jest Pan w swojej twórczości - zresztą nie tylko poetyckiej, ale też w Pana ostatniej książce - trochę ekshibicjonistyczny. Pojawiają się tam opisy konkretnych wydarzeń, sytuacji, imiona konkretnych dziewczyn. Skąd ta potrzeba?

Wydaje mi się, że ekshibicjonizm jest potrzebą wczesnej młodości, debiutów. Wówczas pisze się, jaki to człowiek jest nieszczęśliwy i opisuje się swoje wewnętrzne bóle. Później przychodzi czas, że pisze się o świecie wokół nas. Im poeta jest starszy, tym bardziej pragnie szerzej objąć świat, wyjść poza własne ego. Myślę, że to dobry kierunek. Po prostu czasem trzeba dojrzeć.

Wydana właśnie książka o Islandii też jest zapisem Pana emigracyjnych doświadczeń...

Proszę wziąć pod uwagę, że właśnie zadebiutowałem w prozie (śmiech).

Może zgodzi się Pan zagrać w grę skojarzeń? Ciekawi mnie – jako poeta - z czym wiąże Pan pewne słowa...

To jakaś szarlataneria i psychoanaliza (śmiech)

Spróbujemy?

Proszę bardzo.

Cieszyn?

Moje miejsce na ziemi. Mój świat, choć bolesny.

Dlaczego bolesny?

Bo przeżyłem w nim wiele rozczarowań. Niektóre z nich skłoniły mnie do tego wyjazdu, który opisuję w książce.

Poezja?

Próba ujarznienia świata i siebie samego.

Kobiety?

Hm.

To stały element Pana wierszy...

(Długa cisza). Powiem Panu, że im jestem starszy, tym bardziej traktuję kobiety jako element rozrywkowy w życiu. Kiedyś myślałem, że może związę się z tą czy tamtą kobietą, dziś już nie chcę.

Islandia?

Świat magiczny. Odmienny od rzeczywistości, jaką znamy my Polacy, a szczególnie Polacy z takich małych dziur jak Cieszyn. Islandia to przede wszystkim ludzie, którzy mnie zaskoczyli jak nikt inny w Polsce. Siłą przyjaźni, swoimi cechami charakteru, swoją otwartością. Tym, że potrafią się bawić. Ludzie w każdym wieku, słuchający zupełnie różnej muzyki – nie ma wśród nich żadnych barier, wszyscy są równi. Nieważne, czy ktoś jest sprzątaczką czy bankowcem – idą razem na downtown i razem piją piwo.

Jak wspomina Pan swoją islandzką przygodę?

To wszystko we mnie jest jeszcze bardzo świeże - szczególnie, że planuję tam jednak wrócić. Z pewnością Islandia nauczyła mnie – to może zabrzmiało nazbyt patetycznie – być lepszym człowiekiem.

Czy Panu było potrzebne po prostu doświadczenie emigranta, możliwość spojrzenia na pewne sprawy z pewnej perspektywy, czy też chciał Pan pojechać konkretnie do Islandii?

Chodziło o to, by wyjechać jak najdalej. Początkowo miałem w swoich planach również Nową Zelandię – szukałem kraju mniej znanego. Przecież wszyscy znają Londyn – to taki banał, serial „Londyńczycy”...

No, ale jest też „London calling” wielki hit zespołu The Clash...

Tego nie wziąłem pod uwagę (śmiech). Poza Londynem ogromnie popularna jest Irlandia. Połowa moich znajomych siedzi chyba w Dublinie.

W 2005 roku po prostu zmęczyłem się życiem w Cieszynie. Zmęczyłem się tutejszymi ludźmi i pomyślałem, że właśnie muszę spojrzeć na to wszystko z zewnątrz. Gdy człowiek odetnie się od tego – żyje zupełnie innym światem. Potrzebowałem takiego doświadczenia.

W tej całej historii ciekawi mnie Pana warsztat pisarski. Skąd pojawił się pomysł, by napisać tę książkę? Szczególnie, że wcześniej pisał Pan tylko poezję...

Byłem też przez parę miesięcy dziennikarzem. Wracając do Pana pytania – być może zacząłem przeżywać kryzys jako poeta. Wiersze przestałem pisać w 2005 roku. Wówczas wyjechałem do Islandii, gdzie na nowo poczułem potrzebę pisania. To tam zamieniłem poezję na prozę.

Poezja została zdradzona?

Nie. Być może przeżyłem punkt krytyczny, kiedy stwierdziłem, że pisząc kolejny wiersz powielam samego siebie. Poczuję, że poezję piszę już mechanicznie.

Książka „Islandzkie zabawki” przyjmuje trochę postać dziennika, trochę pamiętnika. Pisał Pan na

bieżący?

Nie. To wyglądało tak, że raz na pół roku siadałem do laptopa, zamykałem się na dwa tygodnie po 3-4 godziny dziennie i podsumowywałem minione pół roku.

To pisanie miało mieć wartość terapeutyczną czy też od początku mierzył się Pan z zamiarem napisania powieści?

Na początku pisałem to dla siebie. Chciałem zapamiętać pewne momenty, trochę tak jak się pisze pamiętnik. Dopiero potem przerobiłem to na potrzeby publikacji, po tych zmianach to przestało być aż tak emocjonalnym pamiętnikiem jak na samym początku, kiedy zresztą nosił tytuł „Brulion islandzki”. Jego fragmenty były publikowane w czasopiśmie literackim „Fraza”. Zresztą szefowa tego pisma utwierdziła mnie w przekonaniu, że warto to robić, przyznam się, że w pewnym momencie przestałem pisać – nie widziałem w tym sensu. - Człowieku, zrobisz z tego książkę, poślij to Stasiukowi – mówiła mi (śmiech). Wtedy zacząłem myśleć, by rzeczywiście to wydać.

Andrzej Stasiuk nie chciał tego opublikować?

Nie odezwał się.

Być może chodzi o to, że Islandia nie leży w Europie Środkowo-Wschodniej... (śmiech).

No tak. Myślałem nawet, by Islandię przenieść gdzieś w okolice Rumunii (śmiech). Na szczęście bielskie wydawnictwo Pascal było zainteresowane wydrukiem.

Jak wyglądała praca redakcyjna nad samą książką?

Jestem bardzo wdzięczny mojemu redaktorowi Romanowi Książkowi, który właściwie nic nie zmienił w tym tekście. Dał mi wolną rękę, nie wystraszył się i opublikował to tak jak napisałem. Nie miał ze mną łatwego życia, buntowałem się przed wszystkimi poprawkami (śmiech). Jestem zadowolony z efektu końcowego, choć dziś na pewno napisałbym to zupełnie inaczej, szczególnie początkowe fragmenty tej książki.

Rozmawiał (i spisywał słuchając płyty „Koniec kryzysu” zespołu Pustki) Łukasz Grzesiczak